

DANUTA STRZELECKA

ur. 1932; Niedzwica Kościelna



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	projekt Archiwum Historii Mówionej - opracowanie i udostępnienie online najcenniejszych zasobów, stalinizm, aresztowanie, więzienie na Zamku Lubelskim, warunki w celi, więźniowie, alfabet Morse'a, rozmowy alfabetem Morse'a, posiłki w więzieniu

Moim obowiązkiem było zapamiętać wszystko bardzo dokładnie

Weszłam do „suki”, to już tam siedziała Krystyna Kowalik, której zresztą nie poznałam i później mnie wprowadzono, w drugim kącie mnie posadzono, tak na ukos, i jeszcze chyba czterech, nie, więcej, koło dziesięciu mężczyzn. No i naturalnie strażnicy. Nie wiedzieliśmy naturalnie, gdzie jedziemy. Dopiero po zakrętach na ulicach ja się zorientowałam, że to jednak Zamek, bo bałam się, że mnie wiozą na dworzec, że mnie do Bydgoszczy wywiozą. Rodzina naturalnie nic nie wiedziała, gdzie jestem, co się ze mną dzieje. Sąsiadka powiedziała, która była świadkiem rewizji, notabene matka prokuratora wojskowego, żeby było śmieszniej. Na Zamek wprowadzono nas w tą główną bramę, ustawiono pod ścianami. Ja stałam obok Krystyny Kowalik, ona w pewnej chwili mówi: „No, ciekawa jestem jakie to będą święta?” Ona była starsza ode mnie, mądrzejsza ode mnie, ze starej rodziny PSL-owskiej, przedwojennej, porządnego PSL-u. Ja sobie myślę „Boże, do świąt, co ona zwariowała? Jeszcze w święta mamy tu być?” No, minęły jedne, minęły drugie teżśmy były, co prawda już w Chełmie, ale także. Ja wtedy stojąc pod tą ścianą, i patrząc wiedziałam, że wśród tych mężczyzn jest ksiądz z parafii świętego Pawła, od bernardynów. Uprzytomniłam sobie, że moim obowiązkiem jest zapamiętać wszystko bardzo dokładnie i rzeczywiście uruchomiłam kliszę jakąś pamięciową. Bo ja przez wiele lat pamiętałam bardzo dużo i później po wielu latach jeszcze dużo pamiętałam, i nazwiska, i to, co się działo. Także to zadanie postawione sobie, wypełniłam w jakimś sensie. W każdym bądź razie, ja byłam albo ostatnia, albo przedostatnia, już do kancelarii wprowadzona i zarejestrowana, zameldowana na Zamku. Zaprowadzili mnie, już pojedynczo zupełnie, na czwarty oddział polityczny, to jest lewe skrzydło, pierwsze piętro. Z tym, że tam jest w tej chwili muzeum, zupełnie przebudowane, to było zupełnie inaczej wyglądające. Wprowadzono mnie tam i wprowadzono mnie do celi numer osiemnaście. Zastałam tam już pięć pań. Najstarszą była pani Wagnerowa,

Maria Wagner, ze sprawy „Żelaznego”. Miesiąc, dwa miesiące wcześniej cały oddział został zlikwidowany, sam „Żelazny” zabity, a jego zastępca raniony bardzo mocno i później stracony. Była pani Jadwiga Kleszczyńska z Zamościa, która była w oddziale Pilarskiego, bodajże Mariana Pilarskiego, „Jara” z Roztocza, z Zamościa. Była Lodzia Zwolak, nauczycielka wiejska, która została aresztowana za przenocowywanie i pomoc takiemu Zbigniewowi Uchnastowi, który się ukrywał, a który potem ją niemiłosiernie sypał na sprawie sądowej. Mówił dużo więcej niż powinien mówić, w sumie dostała bodajże sześć lat. Była pani Marylka Wrońska z Lublina, oskarżona o szpiegostwo, wyszła zresztą ze śledztwa bez sprawy, bardzo ciekawa osoba. I była taka Władzia Kwiatkowska, starsza troszkę ode mnie o kilka lat, też od „Żelaznego”. Z tym, że z panią Wagner nie miały żadnego kontaktu, nie znały się, ta była z Lublina, ta była z Macoszyna pod Włodawą. Siostra jej także siedziała, tylko w innej celi. Zresztą Władzia była po raz drugi aresztowana, a siostra po raz trzeci. Cella była duża, wygodna, znaczy duża, jak na czwarty polityczny bardzo duża, bo stały dwa łóżka, trzy. Podłoga była, co było wielkim dla mnie [plusem], po tym [areszcie na] Chopina, było okno, światło dzienne i powietrze. To już były bardzo dobre warunki. No i później przyszły śledztwa jeszcze na Zamku, przyszło trochę innych rzeczy, panie po kolei wszystkie wyszły, albo na sprawę i na kobiecy, bo była żelazna zasada, że z wyrokiem już się nie wraca na czwarty, tylko prosto z sądu idzie się na kobiecy, na kwarantannę. Zostałam sama, bodajże przez prawie miesiąc, w każdym bądź razie już Wielkanoc zbliżała się, już był Wielki Tydzień, ja robiłam wielkie porządki w celi, przygotowałam się już na święta, a za oknem był taki kosz żelazny. Ja doskonale znałam alfabet Morse’a, raz z harcerstwa, a dwa, że chodziłam na kurs radiotelegrafistów. A za ścianą siedziało ośmiu chłopaków z partyzantki. Niektórzy tacy sobie zwykli, niektórzy oficerowie, no i śmy cały czas stukali naturalnie, namiętnie i w ogóle szły całe dyskusje i rozmowy. Oddziałowi byli różni. Jeden był bardzo przyzwoity, nazywał się Józef Sinica, dbał bardzo o to, żebyśmy wszyscy wiedzieli, gdzie on jest w danym momencie, żeby można było swobodnie właśnie stukać, więc albo chodził i kluczami brzęczał, albo chodził i sobie mruczał pod nosem. I tośmy dlatego nazwali go Mruczkiem. No, innych się okpiwało, były różne sytuacje trudne, łapano nas na grypsach, robiono hipisze, różne rzeczy się działy. Jedzenie było okropne. Jedzenie na Zamku było bardzo podłe, myśmy teoretycznie miały wypiskę, ja ją rzadko miałam, bo na ogół karnie zostałam jej pozbawiana. Natomiast nie zapomnę nigdy takiego momentu, kiedy właśnie już ja byłam sama w celi i chłopaków zza ściany zabrano prawie wszystkich na kaesy, do celi śmierci, na jedynekę, a za ścianą został tylko też taki harcerz, Janusz. Chłopak w moim wieku mniej więcej. Kiedyś stukamy wieczorem, na kolację dwa razy w tygodniu była brukiew, na wiosnę. To była brukiew ugotowana, znaczy to była gorąca woda z brukwią w niej ugotowaną, brukiew pokrojona w grubą kostkę, no i tam pewnie jakiejś troszkę margaryny, czy innego oleju w to wtłoczone. Jeżeli to było bardzo gorące, to jak się tą brukiew wywaliło, bo ja tej brukwi nie mogłam przełknąć, to było ponad moje

możliwości, ale jak się zostawiało, wiedziałam już, w które dni będzie brukiew, zostawiało się skórę z ćwiartki chleba, tą spodnią, bośmy na dzień dostawały ćwiartkę chleba, całą. Jak się tą skórę z chleba w tą gorącą wodę wdobiło, to to wtedy było zupełnie zjadliwe. No i ja właśnie taką porcję zjadłam, z tym że ile to było, pół litra, może trochę więcej tej wody się odlało z tej brukwi. I zaczynamy stukać z tym Januszem, Janusz Kędziński, a on mi mówi: „Słuchaj, dzisiaj się najadłem. Zjadłem pełne trzy miski brukwi.” Mnie, językiem obecnym mówiąc, szczeka opadła. To było dla mnie coś niesamowitego. Uświadomiłam sobie, jak strasznie on musiał być głodny, jeżeli trzy miski tej brukwi zjadł, że ja do końca życia tego nie zapomnę. A wracając jeszcze do spraw jedzeniowych. Na Chopina też było jedzenie bardzo podłe, ale najgorszą udręką to były cynowe miski, bez możliwości ich umycia dobrego, no bo tylko zimną wodą w łazience pod kranem, a przecież na ogół były jakieś takie krupniki z pęczaku, czy coś, no w każdym bądź razie nie sposób było, ja nie miałam, poza jedną chustką do nosa, niczego, czym bym mogła to myć. I co jeszcze było gorsze, to były drewniane łyżki, które były nasiąknięte wszelkimi poprzednimi jedzeniami, to było coś tak śmierdzącego, coś tak obrzydliwego, że właściwie ja tej łyżki nie mogłam używać, tylko wypijałam to, co się dało wypić, albo trzonkiem - odwrotnie, wkładałam sobie jakoś do ust. Nie sposób było łyżki wziąć do ust. To było takie jedno z najbardziej przykrych doznań. Na Zamku już było lepiej, ciepłej wody też naturalnie nie było, ale już można było na wypiskę jakieś mydło wypisać, coś tam, no więc już łatwiejsze było mycie. No i ja właśnie tak do Wielkiego Tygodnia przesiedziałam, a w Wielkim Tygodniu, w czwartek bodajże, była wypiska, ja dostałam wypiskę, a jakże i wypisywało się papierosy, żeby chłopakom podawać. I rzuciło się tak zwanego konia, to znaczy otwierało się okno, okna się otwierały do celi, nitkę na ogół jakąś się skądś wyciągało i przewiązało się paczkę papierosów i przerzucało się do drugiego kosza. I tak się złożyło, że wtedy właśnie ta nitka zamiast przejść nad koszem, to między koszem a ścianą spadła, rzutka nie doleciała, no i na drugi dzień rano sprawa się ryła. Wiedziałam, że coś się święci, ale jeszcze nie wiedziałam co. No i później trzask-trzask, drzwi się otwierają. „Zbierajcie swoje rzeczy”. No i myślę sobie: pewnie znowu gdzieś jakaś wywózka. Przenieśli mnie do innej celi, po prostu wymienili nas celami. Z tym, że moja osiemnastka w stosunku do dziewiętnastki, na którą mnie wprowadzono, to było coś pięknego. Ja później zrozumiałam, dlaczego ta miednica była taka brudna, jak była, dlaczego tam był cement, okno było o połowę mniejsze, grzali mniej, cela była trochę większa niż moja, piece były gliniane i palone z korytarza, z tym, że to było palenie raczej symboliczne. W każdym bądź razie, ja stanęłam, jak się za mną drzwi zamknęły, na progu tej celi i omal że się nie rozplakałam. Ale już było późno, to już był wieczór, mnie już zerwano ze spania do tej przeprowadzki. Na drugi dzień rano wstałam, wzięłam się z miejsca za porządki świąteczne, zdążyłam jako tako uładzić to wszystko, tą miednicę trochę domyć, podłogę ściągnąć na mokro, była bardzo piękna pogoda, otworzyłam okno, żeby to schło, a sama siadłam na stole, bo nie miałam na czym, żeby właśnie

wyszło. I nagle drzwi się otwierają: „Zbierajcie swoje rzeczy”. No i znów, co, gdzie? Okazało się, że mnie przenieśli na kobiecy.

Data i miejsce nagrania	2012-02-13, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Redakcja	Agnieszka Piasecka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"